Lwów, 12. Października. №. 122. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr.— półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 ½ kr. i za dopłata 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha.

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XIII.

(Ciąg dalszy).

Adela go wysłuchała cierpliwie, przyjęła to wszystko z uśmiechem, z dobrą chęcią, z wdzięcznością i tak na to odpowiedziała:

— Dziękuję panu bardzo za tyle pięknych uczuć dla mnie i proszę mi wierzyć, że, jeżeli kto, to ja pewnie umiem je ocenić podług ich właściwej wartości. Wierzę w nie, bo wiem pewnie, że takie serce jak pana Edmunda nie potrafiło-by kłamać, wdzięczną panu jestem i będę do śmierci, bo taka miłość dzisiaj już nie jest powszednią, ale, — dodała ze smutkiem i westchnieniem, — przyjąć ich nie mogę od pana!...

— Przyjąć ich pani nie możesz? — zawołał Edmund, cofając się z krzesłem, — toż w sercu pani niemasz ani jednej iskierki wzajemnego uczucia dla mnie?

— Nie, panie, — rzekła na to z przytomnością Adela, — tego ja nie powiadam, owszem, wiele uczuć jest w mojem sercu, które wyłącznie do pana należą... ale... moje uczucia nie są niestety! w stanie wyrównać pańskim.... dla tego nie przyjmuję zamiany... bo nie chcę pana oszukać.

— Pani mnie oszukać? — rzekł na to zdziwiony Edmund, — jakżeż-by to być mogło?

— Pan mnie nie znasz, panie Edmundzie, — dodała smutnie lecz znacząco Adela.

— O to się z panią sprzeczać nie będę, — poderwał prędko Edmund, — ja panią nie znam, pani byłaś i jesteś dla mnie zagadką... ale przecież zawsze znam panią o tyle... że przynajmniej... że przynajmniej wiem, kto pani jesteś... jakie przymioty...

— Nie panie, — przerwała znowu Adela, — pan nawet nie wiesz, kto ja jestem. Pan mnie masz dzisiaj jeszcze za ową niewinniutką i młodziutką Adelkę, którą pan niegdyś znałeś we Lwowie...

— A pani... zapytał Edmund, wlepiając w nią wystraszone oczy.

— A ja jestem już wdową! — odpowiedziała ze łzami Adela i przycisnęła prędko chusteczkę do oczu.

— Wdową! — krzyknął Edmund, zrywając się jakby piorunem rażony z krzesła i rzucając się w niepamięci na środek salonu.

Adela płakała.

Tymczasem młodzieniec, wzburzywszy się gwałtownie tą wiadomością, stanął od niej o podal i oparłszy się o krawędź komina, przypatrywał jej się przez długą chwilę wzrokiem dziwnie niepewnym i pomięszanym. Aż nakoniec przecierając się ręką po czole, rzekł niby do siebie:

— Niechaj zginę, jeżeli z tego wszystkiego choć jedno słowo rozumiem.

Ten głos zastanowił w płaczu urojoną wdowę Kamila, jakoż odjęła ona chusteczkę od oczu i odsłoniwszy twarz cokolwiek wprawdzie rozpłomienioną, lecz wyrazem stanowczości błyszczącą, spojrzała na Edmunda i rzekła:

— Proszę pana cokolwiek bliżej.

A kiedy przystąpił do niej, podała mu rękę i tak mówiła:

— Przebacz mi pan, że tyle cierpisz z mojej przyczyny... przebacz! bom ja temu niewinna!...... znałam wypadki i ludzi z xiążek, ale nie znałam ich z życia..... odtąd nikt już nie będzie cierpieć z mojej przyczyny... a jeżeli pan jeszcze cierpisz ostatni, to wierz mi, że ja równo z nim dzielę jego cierpienia i gdybym mogła, życiem mojem-bym go z nich wykupiła... Pan'eś się na mnie oszukał, ale teraz wiesz już o wszystkiem i nadal nie masz żadnego niebezpieczeństwa...

— Ale zmiłuj się pani, — rzekł na to Edmund, ze łzami w oczach i do głębi serca wzruszony, — ja zgoła nic nie wiem. Pani mi powiadasz, że jesteś wdową, ale jaką? gdzie ślub? gdzie małżonek?.... tego wszystkiego....

— Siadaj pan, — przerwała Adela, — pan jesteś moim kuzynem, jesteś człowiekiem honoru, masz, jak powiadasz, przywiązanie, masz miłość dla mnie, panu mogę powierzyć tę tajemnicę..... a nawet ją powierzyć powinnam, będzie to tylko dług, z którego się panu wywiążę. Ale słuchaj mnie pan uważnie, bo nadto, co powiem teraz, nikt nigdy odemnie ani słowa nie wydobędzie.

— Słucham panią z uwagą, — odpowiedział Edmund przysuwając się do niej z krzesełkiem.

— Minionego roku o wiośnie, — opowiadała Adela, — kiedyśmy z ciotką osiadły w tem nieszczęsnem mieszkaniu, nudziłam się tu niesłychanie i z nudów błądziłam po lasach. Najdalszą metą moich wycieczek był tak zwany Jar

pogański, stanowiący od wschodu dóbr naszych granicę. Jestto miejsce prześliczne, z cudownemi widokami na wszystkie strony, oddechające najświeższem, jakie być może, powietrzem, pełne drzew kilku-wiekowych, pełne kwiecia leśnego i nigdzie indziej niewidzianej zieleni. Tam lubiłam siadywać i rozpatrując się w pięknościach natury słuchając śpiewu leśnego ptactwa i plotąc wianki z dzikiego kwiecia, rozpędzałam moje nudy nieznośne. Aż dnia jednego pojawił mi się na tamtej stronie jaru młodzieniec...

— A tym młodzieńcem? — zapytał prędko Edmund.

— Był Kamil, odpowiedziała jenerałówna.

— Kamil! — krzyknął przeraźliwie Edmund, — odskakując zarazem na środek salonu, — Kamil! to on był on, przyjaciel! kolega! on! zdrajca!... czułem to, domyśliwałem się, wiedziałem! o! przeklęta gadzino! tak mi się wypłaciłeś za moją przyjaźń, za łaski, za dobrodziejstwa!... ale przepraszam panią, dziękuję za wyznanie mi tajemnicy, dotrzymam ją święcie aż do grobu, lecz..... żegnam.

I to rzekłszy, głosem przerywanym łzami, wybiegł prędko z salonu. W pięć minut potem rzeczy jego były już spakowane, konie zaprzężone i Adela widziała już tylko z okna wierzch jego czapki czerwonej, przesuwającej się jak płomyk ognisty na dół drogą pomiędzy drzewa.

Kiedy Edmund, przyjechawszy do siebie, wszedł do swojej kolosalnej sypialni, powitał go tam stary Burka, jak zwyczajnie z kluczami w ręku przy kominie siedzący.

— Cóż tam słychać mój Burko, — zapytał Edmund smutnym i zachmurzonym głosem, oddając mu futro do ręki i przybliżając się do komina.

— Wszystko dobrze, niech panu Bogu będzie chwała, odpowiedział Biliński, — nie masz nic złego przynajmniej. Pana Kamila wyprawiliśmy szczęśliwie już od kilku tygodni, o czem panu przez ostrożność nie donosiłem.

— Wyprawiliście go? to dobrze! — rzekł na to Edmund, — bo żebym go był zastał, to-bym był go kazał powiesić. A przezemnie niech tak sobie żyje i sto lat, bylem go tylko nie widział.

— Cóż-to panie się stało takiego? — zapytał poufale domownik, boście to przecie panowie byli z sobą w przyjaźni.

— Daj mi z nim pokój, to łajdak!

— Już-to prawdę powiedzieć, — zauważał na to Burka, — to i ja niewiele-bym mógł powiedzieć na jego pochwałę. Bo niech tam będzie w głowie tak albo owak, ale w sercu powinno być prawo i czysto a człowiek panie, któren nie ma religii i nie ma poszanowania dla pamiątek z przeszłości, choćby tam w głowie miał szczere złoto, u mnie panie nie stoi za błoto.

— Ale co tam religia, poszanowanie przeszłości! — zawołał na to wzburzony i nieznający miary w wyrażeniach swych Edmund, — o tem ani wspominaj! jakże chcesz! demokrata od pięt aż do czupryny! gdzież tam być może religia? gdzie poszanowanie dla czego-kolwiek, co nie z jego głowy pochodzi?... tam jest zasada i rozum, a krom tego ani czci, ani wiary, ani podkówek u bótów!

— O! to fe! panie! — rzekł na to starej szlachty potomek, — z takimi ludźmi nie trzeba się wdawać, to paskudztwo jest, to mór na dusze ludzkie, to zaraza. A uważałem ja to dobrze po tym paniczu i przyznam się panu, że mi to dziwno było cokolwiek, że pan z nim sobie zachodzi.

— Słuchaj mnie, — zawołał prędko Edmund, porywając Burkę za klapę, — jeżeli mnie kiedyś obaczysz wdającego się z takim paniczem, daję ci plenipotencyę, każ mnie przeciągnąć na dywan i sypnij mi sto batogów. Masz moje słowo.

— Ej! nie trzeba-to tego, — rzekł na to Burka, — pan masz przecie swój rozum. Ale zawsze to lepiej być sobie ostrożnym, a zwłaszcza z takimi ludźmi. Bo to panie wszystko tylko nabić w armatę i wystrzelić w powietrze. Fum, gadanina, rozumy, opinije, ale rzeczy tam niema ani za grosz. Pokłócić, powywracać, poburzyć wszystko do gruntu, a potem co? Szlachcic stać będzie na miejscu jak mur, bo to rzecz wiadoma, a to licho świśnie z wiatrem tak jak i przyszło. Niech pan mnie wierzy, bom ja człek doświadczony. Słuchać można każdego, ale zaufać tylko temu, którego się zna z domu i z rodu, z siedziby i z zatrudnienia. I taki jeszcze czasem oszuka. A nie dopiero to?..... Ale gdyby i nie to, to już-to zawsze panie towarzystwo takie to nie dla pana. Trzeba zawsze pamiętać o tem, czem się jest, bo w tem całe znaczenie. Co to panie? żeby taki subjektum, jak na przykład ten Kamil, przyszedł był do pańskiego ojca lub dziada, to-by był go pan przyjął i wysłuchał na ganku i jeżeliby był łaskaw na niego, to-by go był odesłał do oficyn pomiędzy służbę. A i z tej służby jeszcze był-by nie każden zaraz przypuścił go do poufałości, bo i służba onego czasu miała swoją ambicyę. A dzisiaj.... tfu! ot lepiej i nie wspominać.

— Ale to czasy, czasy, mój Burko!

— A co nam panie do czasów?:..... Zmieniły się one trochę, to prawda, ale co to ma do nas? Nie można być dziś wojewodą, kasztelanem, starostą, ale zawsze można być sobą samym; to całkiem od nas zależy i tylko ten dzisiaj sobą nie jest, kto niechce.

— Ale prawda, prawda, — zawołał Edmund, — święte słowa twoje, mój Burko, jak pacierz.

— Ale też chcąc być tem, czem być się należy, — ciągnął dalej rozgadawszy się Burka, — nie trzeba przypuszczać lada kogo do swego towarzystwa, a jeszcze też coś takiego, co to boże zmiłuj się. Bo panie, jakkolwiek tam takiemu paniczowi wielkie rzeczy się gnieżdżą po głowie, ja ręczę za to, że przy wielkich pomieszczą się

mniejsze. Widziałem ja już różne rzeczy po naszych sąsiedztwach a i tu nie dał-bym za to trzech groszy, czy tam ten pan Kamil czegoś nie spłatal u jenerała.

Edmund zatrzymał się w swojej przechadzce po komnacie, wlepił wzrok niecierpliwy w Burkę a ten tymczasem mówił dalej:

— Bo to panie, zapomniałem panu powiedzieć. Kiedy Kamil stąd odjeżdżał i już stał we futrze na ganku, przyleciał tu pędem stary Mateusz jednokonnemi sankami i oddał mu list jakiś. Przeczytawszy ten list, spłakało się licho jak bóbr, aż mi żal było chłopczyska.

— Płakał nad listem? — zapytał Edmund.

— Płakał panie okropnie, — powiadał Burka, — ale się zebrał prędko, poszedł tu do komnaty, odpisał, oddał list Mateuszowi, wskoczył w sanki i niepowiedziawszy nikomu słowa, odjechał.

Ta wiadomość żywo zajęła Edmunda, lecz pochodziwszy w milczeniu jeszcze jaki kwandrans po komnacie, odprawił Burkę i spać się położył.

Przez pare dni potem Edmund był dziwnie gorzkim i niby gniewliwym. Burka, żyjący tylko życiem swojego młodego pana, jedynego potomka tak wielkiego i starożytnego domu, zaraz to zauważał i czując się do obowiązku rospędzania każdej chociaż-by najdrobniejszej chmurki na jego czole zebranej, zachodził go z różnych stron, ażeby się dowiedzieć, jaka temu być mogła przyczyna. Atoli Edmund dostrzegłszy znów ciekawości swojego sługi, miał się na baczności z tej strony i nie wymówił się z niczem, co-by odsłonić mogło ciężącą na jego sercu tajemnicę. Po kilku dniach Burka zaprzestał swej ciekawości, bo też zniknął właściwy jej powód, Edmund bowiem swoją gniewliwość i gorycz zamienił tylko na smutek i zamyślenie.

W samej istocie tak było, że pierwsze wrażenie, jakie na nim uczyniło wyznanie Dziwożony, zaraz po kilku dniach przeminęło, a natomiast począł się w nim odzywać krwawy żal za straconą miłością i wszystkie owe smutne uczucia, które towarzyszą każdemu rozczarowaniu. Atoli w dniach następnych owe wszystkie uczucia także poprzemijały pomału, a ich miejsce, przy pozostającym zawsze żalu za straconą kochanką, zajęła ciężka tęsknota. Edmund już czuł wiele w swem życiu a może i kochał, i znał się dobrze z uczuciami swojego serca. Przy wzrastającej ciągle tęsknocie i przy coraz głębiej czuć się dającym żalu, czuł on zarazem potrzebę zbadania siebie i pomyślenia nad sobą statecznie, a kiedy to oboje uczynił, przyznał się sobie z westchnieniem, że pomimo wszelkich wypadków i całego wdowieństwa jeszcze kochał Adelę.

I pod wpływem miłości zaczął on sobie rozjaśniać tę całą sprawę, która była tak głównym jego życia wypadkiem. I jakoś teraz zaczęły mu się te rzeczy w całkiem innej przedstawiać barwie, niż przedtem. Znalazł bowiem najpierwej, że miłość panny dla młodzieńca jest rzeczą tak naturalną, iż daleko dziwniej-by wyglądało na świecie—gdyby się nie zdarzała, niżeli że się wydarza. Na wspomnienie, że Kamil się zakochał w Adeli zawsze się srogo oburzał, bo był zdania, że człowiek takiego urodzenia i nawet ani wychowaniem, ani pojęciami o towarzystwie ludzkiem, nie podniesiony do wysokości tego świata, do którego ze wszystkich względów należała Adela, nie miał on do niej żadnego prawa, — ale już mniej się dziwił miłości Adeli i wytłumaczył ją stem argumentów, które bez wyboru były brane z różnych pojęć i światów. Wiedział zresztą z doświadczenia, jak dziwaczne gusta miewają czasem najpiękniej wychowane kobiety, — i to był także argument. Kiedy przyszedł z kolei na samą miłość i cały stosunek Kamila do jenerałówny, myślał długo i bardzo frasownie. I różne wtenczas przychodziły mu myśli, tak prawie wybrydne, jak gusta kobiet czasami, — ale myśl czysta przeważała zawsze nad nieczystemi. Bo Edmund był dobry chłopiec w gruncie serca i miał ten przymiot prawdziwie szlachecki, że jeżeli kogo kochał, to żadnej w nim wady nie widział, jeżeli kogo nienawidził, to w kąt sam djabeł przed jego obrazem. Edmund nienawidził Kamila, — ale kochał Adelę. Więc chociaż Adela powiedziała mu sama, że jest wdową po Kamilu i że go nie chce na sobie oszukać: miłość jego mu to jasno wytłumaczyła, że to jest tylko platoniczne wdowieństwo — upor jego dodał: toć przecie za mąż wychodzą i wdowy! — a uczucie słuszności, które niewiedzieć zkąd się nagle w nim wzięło, zakończyło uwagą: toć przecie i tyś jest wdowcem — po aktorkach i baletniczkach.

I tak się to jakoś pomału zrobiło, że wypadek, który go wzburzył aż do gruntu i kazał na wieki Adelę pożegnać, okazał się niczem, rzeczą mającą bardzo względne znaczenie, i dla tego wypadkiem takim, nad który powinien się umieć podnieść umysł wyższy, wszechstronny i serce szlachetne — ale także wszechstronne.

Wszakże nie przestał on jeszcze na daniu tego kierunku swoim uczuciom i myślom, w argumentacyi tej poszedł on jeszcze i dalej — i poszedł tą samą drogą, która już jest doskonale ubita przez ludzi, nie mających dosyć rozumu, ażeby umieli opanować swoje słabości, ale mających dosyć umysłowego sprytu, ażeby każde swoje poddanie się tymże słabościom usprawiedliwić przed sobą a w potrzebie, usprawiedliwić także przed światem.

I jakkolwiek jeszcze nieraz różne przychodziły mu myśli, jakkolwiek jeszcze co chwila stawał Kamil przed jego oczyma i przypominały mu się wszystkie jego uczynki i cała owa rozmowa, którą miał z nim o Adeli, kiedy po raz pierwszy przyjechał w dom jenerała, i jakkolwiek jeszcze całe to Dziwożony wdowieństwo nie mogło mu się jeszcze dobrze pomieścić w głowie: jednak miłość zawsze przeważała to wszystko a upór odnosił stanowcze zwycięstwo. Anioł-stróż jego ostrzegał go przed krokiem nie-

rozsądnym i niebespiecznym, ale człowiek anioła odepchnął i przezwyciężył. (C. d n.)

WIERNIK.

(Ciąg dalszy).

Gdy kniaź z bojary ruszył na wrogów,
Został się zamek, jako świątynia
Skąd wyniesiono statuy bogów —
Ale gdy z jego wyruszył progów
Daszko śród nocnych mroków tumanu,
Wyglądał jako straszna pustynia,
Gdzie tylko sterczy wzgórze kurhanu,
Kędy li błądzą w dzień zawieruchy,
A w nocy jakieś widma i duchy.

Gdzie Daszko? O nim i słych zaginął,
Wyleciał w nocy, jak duch ciemności,
Jak duch, o brzasku w mgle się rospłynął,
I nikt nie powie, kędy w dzień gości.—
Śród głuchych stepów, i wsi spokojnych
Po nocy czasem coś zaszeleści,
Zatętni,—kilku przemignie zbrojnych,
Wstąpi do zamków — i znów śród mroków
Umknie, zostawi gwar tajny —wieści—
A biada, ktoby gnał w ślad ich kroków,
Bo w porę duchów dzieło poczęte,
Jako duch będzie straszne, przeklęte.—

A Anna? W wdowiej żałobnej szacie
Duma lub stoi przy okna kracie —
Lecz łzawych oczu w step nie wytęża,
Czy nie wybłyśnie znak księcia męża?
I choć się modli do matki boskiej,
To jej modlitwa nie jest aniołem,
Co się unosi z żałoby proga,
I niesie żale, smutek i troski
Tam do wielkiego miłości Boga,
I z tamtąd wraca z okiem wesołem!
I już jej myśli, to nie obłoki,
Ranny dech kwiatów, zorzą świecące,
Ale chmur zastęp, co połknie słońce,
Dzikim błyskawic światłem jaśniony—
Spędzony burzą z północnej strony,
Ćmę i strach niesie na świat szeroki.
A serce Anny — to cmentarz głuchy,
Gdzie błogie wiało niegdyś wesele —
I było życia, nadziei wiele.
Dziś tam rojami snują się duchy—
Nurtują w głębi, a na ich czele
Upior sumienia. W jej twarzy bladej
Jawią się żywej rospaczy ślady,
Zresztą podobna już do umarłej.

Smutną komnatę zaległy cienie,
Po kątach siadło straszne milczenie,
Chyba że siny księżyca promień,
Kiedy się z czarnych chmurzysk wynurzy,
Wpadnie lub nagły błyskawic płomień,
Czasem w sklepieniach szumi duch burzy.—
Nagle ze chrzęstem drzwi się otwarły,
Pochodnia błysła pośród pomroki,
Zadźwiękła zbroja, wszedł mąż wysoki.

— Anno gdzie jesteś? czemuś tak sama?—
Zamku twojego zarosła brama, —
Żyjesz jak w puszczy biedne czernice,
A tu tak ciemno, gdzie twe dziewice?

— Jam już nie księżną.

— Tyś księżną wciąż,
Tylko że kniaziem nie stary mąż.
Jam kniaź!

— Więc umarł?....

— Ha! luty bój
Może i w kniazia rzucić grot swój —
A choćby tylko laury dłań miał,
To ja mam ostrych tysiące strzał.

I zagrał w turzy róg piersią całą,
Tysiąc mu rogów z dołu odgrało.
I huk się burzy rozległ przez sale.

— Słyszysz?

— Oh! słyszę i to finale,
Burzą ci wtórzy piekieł gromada —
Daszku! to zdrada! biada ci, biada!
Stokroć! okropny wierniku księcia.

— Jam już nie młodzik — co w błahy śpiew
Wyroni miłość, zemstę i gniew,
Płakałem niegdyś, dziś jestem mąż,
I choćby bożym piorunom w brew
To lecę Anno w twoje objęcia.

— Bluźnisz! Z anioła stałeś się wąż!
Jam cię kochała dla twoich mąk,
Kiedyś je znosił jak istny mąż!
Kniaź tam wojuje, szlachetny lew,
Ze starej piersi nie szczędzi krew —
Śród blizn i laurów wspomina nas —
A my jak podły, tchórzliwy płaz
Przez jego serce wpadli mu w gród —
Tyś Daszku żmii błyszczącej płód —
Oh! niewyciągaj błagalnych rąk —
Bo ojcobójczy błyska w nich miecz,
Połam go Daszku i uchodź precz —
I nie stąp nigdy w ten święty próg,
Książę przebaczy'ć i może Bóg —
Choć, co się stało, nie wróci wstecz,
Ale precz Daszku — daleko — precz —

Gdy to wyjękła, w ócz jej błękicie
I głosie taka była potęga,
Że zda się nawet za gwiazdy sięga,
I Daszko wyrzekł jak korne dziecię:

— Patrz, łamię, rzucam, rycerski miecz,
Umknę z ojczyzny daleko precz —

Na koniec świata, w otwarty grób,
Pójdę, lecz z tobą, o! weźmy ślub —
Już jego żoną nie możesz być, —
Chodź! ze mną będziesz szczęśliwą żyć.

Przykląkł i ku niej wyciągnął dłonie,
A Anna naprzód stąpiła krokiem,
Z książęcą dumą podniosła skronie,
A obrażonej kobiety okiem,
Głosem i ręką rzekła mu: «precz«—
I Daszko powstał, cofnął się wstecz,
I dziwnie drżący, dziki wzniósł głos:
— Pójdę, i wrócę, weźmiemy ślub!
Ołtarzem będzie nam kniazia trup,
A szatan księdzem. — Oto nasz los!
Tem słowem w piersi wszelkie katusze
Stłumił i w Annę wypatrzył oczy,
Wzrok miał spokojny, straszny, uroczy,
Wzrok, którym demon obrzuca dusze.
Ale gdy spojrzał w Anny źrenice,
Wzrok mu się zmieszał, skrzywiło lice,
W głośny, piekielny wybuchnął śmiech,
To w nim się zaśmiał straszny duch zbrodni,
A w śmiech wtórzyło tysiące ech,
Może puszczyki, wspólnicy godni.
I Daszko w Annę wlepiwszy wzrok
Z okropnej zgrozy wyrazem w twarzy,
Ku drzwiom kierował drżący swój krok,
Z drzwi runął w ciemną głąb kurytarzy.

Anna patrzyła taką źrenicą,
Z której już szczęścia słońca nie świecą,
Ni od ziemskiego mgli się cierpienia —
Lecz ją nadziemski blask rozpromienia.
Gdy zbrodnia w takie popatrzy oczy,
To jak od tarczy Gorgony skoczy,
Z zabitej duszy rozum ucieczе,
Nim przed sąd Boga śmierć ją zawlecze. (D.n.)

Oleona.

Znane w całej Europie jest nazwisko Ole Bulla; sławny ten skrzypek zebrał w Europie i Ameryce kilka milionów z swoich koncertów i użył tego majątku w sposób najszlachetniejszy. Kupił on w północnej Ameryce w Pensylwanii do 300,000 morgów ziemi, i zakłada na niej kolonie dla swych ziomków. Ziemię podzielił na małe farmy, które norwegskim wychodźcom wydziela po cenach, pokrywających jedynie koszta wyłożone. Zapłaty nie żąda z góry. I najuboższy przy jakiej takiej pracy może po kilku latach spłacić ratami i zostać niezawisłym właścicielem ziemi. Z zebranych spłat zakupować ma ziemie nowe i powiększać kolonię; nowa osada położona jest w bardzo zdrowej okoli[illegible] ma wyborną ziemię, piękne lasy jaworowe, bukowe i świerkowe, i połączona jest kolejami żelaznemi z Nowym Yorkiem, Filadelfią i Baltimore.

Przed odjazdem swym z Nowego Yorku Ole Bull z swoimi ziomkami, między którymi jest wielu cieślów, stolarzy, kamieniarzy i innych rzemieślników, umówił się, iż zjadą się w miejscu zwanem Augusta, gdzie zakładanie osady się rozpocznie. Wychodźcy przybyli pierwej, rozbili namioty i zatknęli swą chorągiew, we środku krzyż norwegski, a w około gwiazdy amerykańskie. Ujrzawszy z daleka Ole Bulla, wznieśli okrzyki radośne, na które towarzysze Ole Bulla odpowiedzieli powiewaniem chustek i wywijaniem kapeluszy; artysta wyskoczył z powozu i serdecznie uściskał swych ziomków. «Rzadko kiedy, albo nigdy, mówi jeden z amerykańskich dziennikarzy, — można być świadkiem tak szczerej radości.»

Następnego dnia o świcie poczęli cieśle roboty około budowli nowego hotelu. Wytknięto place: na kuźnię, magazyn, szopy, a Ole Bull sam w towarzystwie inżyniera objeżdżał granice swej posiadłości. Przed południem przybyły wozy z wiktuałami i innemi zapasami, które Ole Bull dla osadników przysposobił. Przyprowadzono pięknego tłustego wołu, zabito go natychmiast i zastawiono wyborną pieczeń do obiadu. Po obiedzie wyznaczył Ole Bull place, gdzie jego własny dom i 25 innych dla przybyłych już norwegskich familij wznosić się mają; tymczasowie ścięto piękne, wysmukłe drzewo, na którem chorągiew na dachu hotelu zawiesić miano. Gdy je przymocowano na hotelu, przyleciało ptactwo gromadnie i usiadło na najwyższych gałęziach. Wzięto to za szczęśliwą wróżbę i grzmiącemi powitano okrzyki. Już przed tem postanowiono, iż miastu nadadzą imię, skoro chorągiew na hotelu powiewać będzie. Powoli, majestatycznie wznosiła się do góry, lekki wietrzyk nią poruszał, a gdy ją podniesiono na wysoki szczyt drzewa, rozległo się imię «Oleona», wychodząc z wszystkich naraz piersi. Na cześć 31 państw Zjednoczonych okrzyknięto 31 razy wiwat, a trzykroć na cześć założyciela osady.

Ole Bull z inżynierem uczynili potem drugą wycieczkę, aby wynaleść stósowne na młyn miejsce; przybyli wnet nad rzekę, na której wkrótce stanąć ma młyn, tartak i garbarnia. Potem wytknięto stósowne place na kościół i szkołę. Wszystko będzie wykonane pod okiem Ole Bulla.

Amerykanin o nim pisze, iż bystre jego pojmowanie, sąd zdrowy, szybkie i stanowcze postanowienia, niezmordowana energia, a przytem odpowiednia siła fizyczna i wytrwałość przechodzi wszystko, co w tym względzie widzieć mu się zdarzyło.

Wieczerzę spożyto en famille, poczem Ole Bull z swemi skrzypkami usunął się od zgromadzenia, chcąc dla uświetnienia dnia tego skomponować utwór muzyczny. O godzinie 9. zgromadziło się towarzystwo przed hotelem; w około pod wolnem niebem pozapalano ognie wielkie, zrobiło się tak jasno, jak w dzień słoneczny. Od tej jasności tem fantastyczniej odbijały ciemne bory i wzgórza. Gdy Ole Bull pojawił się na balkonie, odgłos radosnych okrzyków rozległ się aż o góry. Był głęboko wzruszony,

kilka minut minęło, zanim słowo wydobyć mógł, przemówił do swych ziomków w następujące prawie słowa:

— Moi norwegscy bracia! Z wybrzeża, gdzie huczą burze północnego morza, gdzie szumi rzeka Mael, a przez większą połowę roku zorza północna zastępuje miejsce słońca, przybyliśmy tutaj dla wyszukania sobie nowej ojczyzny. Aż do gór naszych, gdzie nas nędza i głód cisnęły, doszła nas wiadomość, iż istnieje kraj, gdzie wolność tron swój rospięła, gdzie w łagodniejszym klimacie szczęście i dostatek panuje. A gdyśmy rozłożyli nasze roczniki, wyczytaliśmy, iż nasi ziomkowie pod wodzą Torfina odkryli ten kraj przed ośmiu przeszło stuleciami, i tam zetknęli się z okrutnymi i dzikimi Indyanami, i nie mogli innych pomników po sobie zostawić, prócz kilku na skale wykutych napisów i kościoła na wyspie, położonej u ujścia rzeki Narraganset. Odtąd potężniejszy naród założył tu kwitnące kolonie, i zaprowadził rząd na odwiecznych prawach ludzkości oparty. Wiadomość o tem napełniła nas radością, i udaliśmy się do tego kraju, by udział wziąć w jego wolności i jego oświacie, a piękną dolinę, którą przed sobą widzicie, wybraliśmy na stałe nasze siedlisko. Odgłos każdego drzewa, które zetniecie, dojdzie aż do naszej ojczystej ziemi, i zwoła z tamtąd naszych braci, i założymy tu nową Norwegią, swobodną, pod opieką przemożnych Zjednoczonych Stanów.

Mowę tę przejęto z zapałem, a entuzyazm doszedł do najwyższego stopnia, gdy Ole Bull pochwycił za skrzypki, i odegrał właśnie co skomponowany hymn, pełen melodyj norwegskich. Żaden język nie zdolen jest opisać wrażenie, jakie ta muzyka sprawiła; artysta z głębi natchnienia wydobywał swe tony, więc aż do największych głębin serca poruszał wszystkich. Ziomkowie jego płakali jak dzieci, ojczyste melodie przypominały im przyjaciół i krewnych, których pozostawili za dalekim oceanem, a gdy przy końcu zagrzmiał z czarodziejskiego instrumentu wspaniały, narodowy hymn wolności, nadziemskim ogniem zapałały wszystkie oczy, wszystkie twarze rozjaśniły się, wszyscy chwycili się za ręce i zawtórzyli śpiewem melodyi skrzypców.

Mahometanie.

W charakterze ludów mahometańskich spostrzegamy sprzeczności największe: obok nieograniczonego despotyzmu niewolniczą uległość, obok tolerancyi religijnej a raczej obojętności nawet, fanatyzm najzacieklejszy, obok lenistwa, niedbałości, apatyi, rycerską waleczność, męską energiję i pełne godności postępowanie. A właśnie to połączenie w sobie tak sprzecznych własności uzdalnia Turków do władania nad Orientem, tą siedzibą najróżnorodniejszych co do języka, religii i obyczajów plemion, nad kraina największych sprzeczności. Pomimo ciemnoty swej w ogóle mają wrodzony bystry sąd o rzeczach i ludziach, pojmują dokładnie charakter swych ziomków. Podbitym lub hołdującym im ludom: Beduinom, Arabom, Druzom, Maronitom, Kurdom, Serbom, Bułgarom, Bośniakom i t. d. dozwalają w wielu względach swobodniejszego i niezawiślejszego rozwoju, wolniejszych instytucyj, niż to czynią państwa europejskie, składające się z różnorodnych ludów i narodowości.

Zapewne, iż Turcy mają wiele przesądów, stojących na zawadzie przyjęciu się tam cywilizacyi europejskiej, ale przesądy te znikają coraz więcej pod wpływem mocarstw europejskich. Podstawą i najsilniejszą sprężyną do reform w państwie tureckiem jest wrodzony każdemu narodowi popęd do zachowania bytu i niepodległości własnej. Popęd ten zmusza Turków do zgodnego i spokojnego obchodzenia się z chrześcianami, do przyjmowania pożytecznych i zbawiennych rad.

Turcya w ostatnich latach trzydziestu zrobiła większy postęp, niż państwa chrześcijańskie w kilku wiekach. Zarzucają jej jeszcze nietolerancyą, a nie pomną, że nietolerancya turecka w najgorszym razie jest jeszcze łagodniejsza, niż w wielu chrześciańskich państwach. Bo czy we Włoszech, w Hiszpanii, w Szwecyi, Meklenburgii, istnieje większa tolerancya? Czy dozwalaią tam odprawiać nabożeństwo innemu wyznaniu prócz panującego kościoła? czy nie wzbraniają czytania biblii, nie prześladują żydów, nie uciskają katolików? czy nie wzbraniają budowania kościołów innego wyznania, dzwonów, cmentarza?

Szczęściem, iż sądy nasze o religijnych stosunkach Turków poczynają być sprawiedliwsze. Już coraz więcej uznają wszyscy, iż niemożna na Turków powstawać dla tego, iż nie są chrześcianami, lub od napaści nie bronić ich z powodu, iż wierzą w Koran, który obok dziwactw i przesądów zawiera wiele prawd odwiecznych w sobie. Popatrzmy, co się w ostatnich latach 30 działo w zabranych prowincyach polskich, jakich męczeństw doznawali księża, zakony, całe gromady, niechcące przejść na szyzmę. Czy w tym samym czasie działo się coś podobnego w Turcyi?!

Wyznawców Koranu nie można sądzić z stanowiska chrześijańskiego, lecz trzeba się przenieść na ich własne; a dzisiejszych Mahometan niemożna oceniać z wieków dawniejszych, bo wiele miejsc w koranie ze zmianą stosunków straciło i swe znaczenie pierwotne. Chrześcijaństwo już dziś nie jest tem, czem było za czasów apostołów, podobnie Islamizm dzisiejszy nie jest Islamizmem z czasów Harun-al-Raszyda. (D. n.)

Rozmaitość.

* Młodziutki pianista Aleksander Bogucki powrócił z podróży swej artystycznej po Galicyi wraz z swym ojcem, nauczycielem muzyki, do Lwowa. Zwiedził on miejsca kąpielowe i wszystkie miasta cyrkularne na rucie od Stanisławowa aż do Krakowa. O pierwszym koncercie jego w Lubieniu już dawniej donieśliśmy, posłuchaj-

my, jaki sąd o nim wydały inne pisma czasowe. Czas krakowski pisze z dnia 25. września: W sobotę mieliśmy koncert 11-letniego Aleksandra Boguckiego, który kształci się na fortepianie pod kierunkiem ojca swego. Gra jego zapowiada w nim już dziś przyszłego mistrza, a lubo przedwczesne nadzieje nieraz zawiodły, szczególnie zaś w świecie artystycznym, widzieliśmy wszakże w młodym Boguckim już tak ogromne zdolności i takie onych użycie, że dość resztę zostawić czasowi: niechaj z wiekiem młodzieńczym i zapał młodzieńczy wpłynie na duszę, niech ją ogarnie ożywczem tchnieniem swojem. Ogromna na ten wiek mechaniczna biegłość dostarczy mu środków, któremi będzie mógł dowolnie rozrządzać, a nawet skoro je umysł twórczy rozpleni, pozwoli mu szafować nimi zbytkownie. Jedną tu wszakże uczynić musimy uwagę, a mamy do tego prawo w imieniu nadziei, jakie sobie po młodym artyście rokujemy, a które nie są ani ojca, ani jego samego wyłączną własnością lecz publiczną, to jest, aby kształcenie młodego Aleksandra, i to nietylko muzykalne, ale wszechstronne wyszło już z tego miękkiego toru, który w całej grze jego przebija. Wlać w duszę energię, a przejdzie ona i wkońce palcy. Dla tego też pieszczotliwe „Scherzo" Kątskiego najlepiej odpowiadało kierunkowi muzykalnego rozwinięcia młodego artysty; szorstki zaś a głęboki Weber przybrał pod wątłemi palcami jego takiej ogłady, iż wyszedł z pod nich nie jak fantastyczna postać „Oberona," ale jak wymuskany commis-voyageur. Nie czynimy z tego względu zarzutu grze, ani ujmujem cokolwiek ze zdolności, zwracamy tylko uwagę na charakter jej. Dodajem nadto, że Webera nie można dawać do rąk 11-letniemu chłopcu, jak mu się nie daje na popis deklamatorski „Improwizacyi Konrada," ale raczej przedmiot odpowiedni pojęciom dziecka. Rozumiemy, że pyszny uczniem i synem, chciał p. Bogucki przedstawić w nim, jak wiele nauczyć może i umie, i pod tym względem dopiął celu — niepośledni też to nauczyciel, co tyle nauczyć jest w stanie.

* **Z Krakowa. Deotyma** zwracała powszechną uwagę i interes; bawiła w Krakowie wraz z rodzicami od poniedziałku (dnia 2. b. m.); wyjechała do Warszawy dnia 7. b. m. Sześciodniowy pobyt nie wystarczył zapewne do gruntownego poznania piękności, i pomników Krakowa, ale zapewnie ubogacił jej wyobraźnią, pasmem ojczystych obrazów, rodzinnych myśli i ożywił fantazyą ciepłem narodowego żywiołu, zapałem uczucia miłości świętej ziemi, tak potrzebnym jej sercu i jej rojeniom tęczowym i poetycznym.

Ku uczczeniu jej pobytu, szanowny autor *Katalogu biskupów*, urządził we środę zabawę wieczorną, na którą sprosił wszystkie znakomitości z świata literackiego, goszczące w Krakowie. Poetka raczyła okazać talent swój improwizatorski wygłoszeniem świetnej poezyi. Deklamacya trwała bez przerwy około trzech kwadransy, kilka osób z towarzystwa spisywały płynące wspaniałą rzeką, niepowstrzymane, niestrudzone, nieprzerwane pasmo wierszy improwizowanych. Nazajutrz, takież zebranie wyboru towarzystwa u sędziwego autora: *Bezkrólewia*, miało przyjemność słyszeć tak serdeczne poezye gospodarza domu, jak i harmonijną poezyę improwizatorki. Wreszcie na trzeci dzień, improwizatorka raz jeszcze rozwinęła talent swój znakomity, na zebraniu u matki jednej ze znanych naszych literatek.

Wszystkie te utwory natchnionej jej fantazyi były spisywane, wartałoby je rozpowszechnić umieszczeniem w którem z czasopismów — jako też utrwalić pamiątkę goszczenia chwilowego poetki, w murach królewskiego grodu.

Panna Jadwiga Łuszczewska oprócz wygłoszonych improwizacyi, skreśliła kilka poezyi ku pamiątce miejsc znakomitych, jak np. Biblioteki akad. krak. w księdze odwiedzających, — jako też na pamiątkę osobom znamienitszej zasługi, jak np. Ambrożemu Grabowskiemu, sędziwemu historyografowi Krakowa. Zapewne zdolne jakie pióro, którego z celniejszych pisarzy, zechce poświęcić chwil parę, artykułowi opowiadającemu o pobycie Deotymy w Krakowie i o jej improwizacyach, wygłoszonych z taką pewnością, płynnością i taką zawsze bogatą wyobraźnią w obrazy i myśli niepospolite.

Zakończając z mej strony to doniesienie o poetce śmiem wnioskować, iż żywe zajęcie z jakiem przyjęto tutaj Deotymę, zapewne pozostawi miłe wspomnienie w sercu jej, i może myśli jej wygłaszane na nowo w murach salonu i dla salonu warszawskiego, przedrą się niejednokrotnie z owej salonowej atmosfery, i uciekną w strony otwartsze, ożywieńsze, tam gdzie rozbrzmiewa dzwon Zygmunta, tam gdzie Zygmunt spoczywa ujęty snem wiecznym, tam gdzie Kmita w kamiennym pancerzu i przyłbicy martwem spogląda okiem, tam gdzie lud cały, obrońcom swoim garściami swemi sypał pomniki; może te myśli jej, zbłąkane ponad świątynie i mogiły, rozpłomienią ją sercową miłością ziemi rodzinnej, i miłość tę częściej, uczuciowiej niż dotychczas, serdeczniej odmaluje w fantazyjach narodowych i w swojskich malowidłach. *Teofil K.*

Wiedeń, 7 października.

ω Cały Wiedeń w gorączkowem oczekiwaniu. Bióro telegraficzne w formalnem obleżeniu. Giełda stała się ofiarą gadatliwego Tatara! Dowiaduję się właśnie **z najpewniejszego źródła**, że Tatar był pijany — wyjeżdżając z Konstantynopola, wziął ze sobą pełny pęcherz kobylego mleka, a przyleciawszy do Bukaresztu poczęstował go Sadyk Pasza prawdziwą kontuszówką. Fantazya wschodnia i tak bujna, po jej zażyciu jeszcze mocniej rozbujałą, i — Sebastopol padł ofiarą z flotą, z załogą i magazynami. Oto skutki polskiej wódki!—

Doniosłem wam, że tę przedwczesną nowinę należy z wszelką ostrożnością i oględnością przyjmować. **Skutek nie omylił moich przewidywań** a **„Czas" to poważne pismo** ma europejską zasługę, że pierwsze ostrzegło łatwowierną publiczność.

Jakiem wam to tyle razy już pierwej powiedział.— Rossyanie bili się jak lwy, ba co mówię: jak prawdziwi niedźwiedzie sybirscy, którzy żartów nie rozumieją, co potwierdzają angielskie nawet dzienniki, każda piędź ziemi szeflami krwi okupiona, każdy krok piekielną podróżą, każda pierś fortecą! — Książe Menszyków w zapale niepowstrzymanym przeskoczył na dzielnym angielskim folblucie marszałka St. Arnaud, i zawadził o łopatkę generała paraliżem tknięta. **Świat i potomność** podziwiać będą ten skok olbrzymi, jak to już dawniej wam pisałem. Oto rzeczywisty powód słabości i śmierci generała St. Arnaud, **jak to z pewnego dowiaduję się źródła.** Mówił mi to bowiem pan woźnica od księcia G.......... któremu to powiedział masztalerz a ten to słyszał od samego lokaja. Jak widzicie wiadomości moje czerpię **w wyższych kołach.**

P. S. W tej właśnie chwili (jest godzina 2 po południu) dowiaduje się, że ulubiony koń księcia P...... **jak już dawniej mówiłem** posła naszego mocno na zołzy zasłabł. Spieszę do stajni — może co pomogę, bo znam się na **nosaciźnie**; byłaby to strata dla **naszego** poselstwa nie do odżałowania!

* JExc. feldmarszałek porucznik Antoni Vogl, właściciel pułku X. Hessa, który u nas przeszło 25 lat piastował różne urzęda, został mianowany kommendantem twierdzy Komorn we Węgrzech, i już w przyszłym tygodniu odjeżdża. Przez ten czas śród trudnych nieraz okoliczności umiał sobie sprawiedliwem a przytem ludzkiem i wyrozumiałem postępowaniem zjednać powszechny szacunek, i z żalem go tracimy. Na jego miejsce mianowany jenerał-porucznik Pfanzelter, który przed 25 laty przebywał we Lwowie, jako kapitan sztabu, przybył już do naszego miasta.

* Roschodzi się głośno wiadomość, że nasz głównodowodzący jenerał-zbrojmistrz baron Hess, został mianowany marszałkiem polnym armii. Spodziewany co chwila z powrotem z Wołoszczyzny i Multan do nas, bo nawet o jego przybyciu z Wiednia przedwczoraj telegrafowano. Najpewniej jakaś znakomita osoba z nim przyjedzie, bo w jego kwaterze kilka pokoi nowemi przyborami ozdobiono.

* Wczoraj był wielki występ całej załogi za janowskiemi rogatkami, w wielkiej paradzie przed kommenderującym jenerałem kawaleryi JExc. hr. Schlick.

* JW. ks. Kajetan Żmigrodzki, kustosz kapituły rzym. kat. lwowskiej, infułat żółkiewski, kawaler orderu Franciszka Józefa, były administrator archidyecezyi, dyrektor centralny gimnazyj Galicyi, rektor wszechnicy lwowskiej, doktor i profesor teologii, po długiej chorobie przeniósł się przedwczoraj o północy do wieczności.

Przyjechali od dnia 10. do 12. października do Lwowa:

PP. Poniński Ludwik, książę ze Stryja. Niedzielski Wiktor, ze Żurawna. Zagórski Wincenty, z Podbuża. Czajkowski Hipolit, ze Sarnik. Kosecki Józef, z Jaworna. Krokoszyński Kajetan, z Rudek. Krajewski Leon, z Tyrawy. Link Franciszek, z Komarna. Potocki Alfons, hr. z Łancuta. Tarnawiecki Marceli, z Gdyrzyna. Okornicki Felicyan, z Rozdołu. Ziembicki Henryk, z Dobrostan. Gołuchowski Artur, hr. ze Skały.

PP. Borowski Mateusz, z Hurka. Terlecki Julian, z Łanowic. Kruszewski Henryk, z Chorobrowa. Zagórski Karol, ze Złoczowa. Brunicki Wojciech, z Podhorec. Bielański Wincenty, z Turzego. Siemianowski Franciszek, z Siemiginowa. Michalik Wacław, z Bóbrki. Żurakowski Konstanty, ze Żółkwi. Piniński Leonard, hr. z Rokietnicy. Zawadzki Władysław, z Jezierny. Sobolewski Mikołaj z Tarnopola. Lipiński Aleksander, z Przemyśla.

Wyjechali od dnia 10. do 12. października ze Lwowa:

PP. Borowski Ludwik, do Krowicy. Medwej Franciszek, do Stupnicy. Jasiński Józef, do Zabłotowa. Michalewski Antoni, do Niedzielisk.

PP. Stecki Adolf, do Srodopolec. Rulikowski Kajetan, do Switarzowa. Rozwadowski Wiktor, do Kozowy. Broniewski Hipolit, do Bereźnicy. Skolski Mikołaj do Worwoliniec. Remer Erazm, do Brzeżan. Berlański Henryk, do Czortkowa. Wesołowski Edmund, do Brodów. Puzdrowski Jan, do Biskowic. Michalek Jan, do Brzeska.

Kurs telegrafowany z Wiednia 11. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	97.	Medyolan za 300 lirów	—.
Augsburg za 100 złr.	$118\frac{1}{8}$.	Paryż za 300 franków	$137\frac{1}{8}$
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	$22\frac{3}{4}$
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$116\frac{5}{8}$	Srebra agio	18
Genua.	—.	Pożyczka 5% $85\frac{7}{16}$. $4\frac{1}{2}$	—.
Hamburg za 100 tal. banco.	$86\frac{1}{2}$.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—.	Akcye banku . . .	1251.
Liwurno.	—.	Kolej północna . . .	$1773\frac{3}{4}$.
Londyn za 1 funt szterl.	11. 25.	Obl. ind.	—
Marsylia	$136\frac{7}{8}$.	Nowa pożyczka z loteryą	$97\frac{5}{8}$.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.** Gotówka towarem.

	Gotówka		Towarem	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 28	złr. 5	kr. 29.
Dukat cesarski	„ 5	„ 32	„ 5	„ 34
Półimperyał zł. rosyjski	„ 9	„ 35	„ 9	„ 40.
Rubel srebrny rosyjski	„ 1	„ 51	„ 1	„ 52
Talar pruski	„ 1	„ 45	„ 1	„ 46
Polski kurant i pięciozłotówka	„ 1	„ 19	„ 1	„ 20.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . .	„ 86	„ 10	„ 86	„ 30

Obligacye indemnizacyjne 74. — do 74 złr. 40 kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza**.